

Wspaniałe aktorstwo

„Genewa” B. Shawa w „Maszkaronie”

George Bernard Shaw, na chwilę przed wybuchem II wojny światowej wierzył jeszcze w człowieka: napisał „Genewę”, gdzie w krzywym zwierciadle przedstawił postaci, które wydawały mu się śmiesznymi raczej niż groźnymi. W pięćdziesiąt lat później Brunon Rajca wiedział już jakie miejsce w historii zajęły marionetki z farsy Shawa. Dzięki tej widzy przedstawił krakowskiej publiczności nie Shawa — prześmiewcę, lecz Shawa... proroka. „Genewa” stała się w jego opracowaniu i reżyserii utworem publicystycznym, oskarżycielskim. Ze sztuki Shawa wybrał to, co ma bezsprzeczną wartość historyczną i filozoficzną, a śmiech, który miejscami publiczności trudno powstrzymać — to tylko potwierdzenie, jak wiele paradoksalnych twierdzeń padających z ust osób jednoznacznie określanych mianem dyktatorów i morderców, znanych jest widzom z własnego doświadczenia. Niezależnie od tych zabiegów reżyserskich „Genewa” jest spektaklem wybitnie aktorskim. Właściwie każda postać jest ważna. Przyjrzyjmy się im w działaniach.

Pełna wdzięku, choć raczej pozbawiona szczególnej inteligencji i wiedzy politycznej Angelika na stanowisku sekretarki w Biurze Międzynarodowej Współpracy Intelktualnej nieświadomie wywołuje światowe zamieszanie. W miarę rozwoju wydarzeń dojrzewa i rozwija się, stając się wreszcie — i, zdaje się, zasłużenie — damą Imperium Brytyjskiego. Izabella Lipka, uroczą zarówno wdziękiem własnym, jak kokieterią odtwarzanej postaci, na oczach widza przechodzi transformację i przeobraża się w sposób tak przekonujący, iż najmniejszej wątpliwości nie ulega, że nie jest bynajmniej „jakaś tam Angieleczka”, lecz osobą ze wszech miar zasługującą by zasiąść w parlamencie. Przez jej genewskie biuro przewijają się ludzie gnębieni, mał-

tretowani, prześladowani (czasem też są to sprawy bzdurne, jak choćby rzekome szalenie idei Kościoła anglikańskiego przez dziewięciu misjonarzy w Rosji). Postaci te w wyrazisty, zindywidualizowany sposób kreują: Andrzej Gazdeczka (Zyd), Mieczysław Ostroróg (Przybysz), Stanisław Jędrzejewski (Duchowny anglikański) oraz Andrzej Kruczyński (komisarz Posky). Sprytna panna Begonia korzysta z pomysłu podsuniętego przez pierwszego petenta — i całą sprawę przekazuje do Międzynarodowego Trybunału w Hadze, a przy okazji także swemu narzeczonemu, amerykańskiemu dziennikarzowi, polującemu na skandale (Andrzej Bryg). Sprawa nabiera rozgłosu, ku zdumieniu samej Ligi Narodów, reprezentowanej przez Sekretarza Generalnego: Józefa Harasiewicz z przekonaniem od twarza wysokiego urzędnika, któremu w głowie pomieścić się nie mogą wydarzenia wykraczające poza codzienną rutynę, ustalony tryb i porządek. Więcej elastyczności prezentuje Sir Orfeusz Midlander, brytyjski minister spraw zagranicznych, który z ironią i autoironią ocenia siebie, zdarzenia, cały świat. Ten angielski dystans i umiejętność omijania problemów — czasem w paradoksalny sposób — skutecznie wypracował Ryszard Sobolewski (choć z całą pewnością przeszkadzał mu w tym przykrótka parapsol). Inny odcień dystansu, a raczej wzniesienia się ponad obowiązujące kurtuazyjne zasady reprezentuje Sędzia Międzynarodowego Trybunału, młody idealista, którego postawa najbliższa jest chyba ówczesnym przekonaniom Shawa. Ryszard Gajewski-Gębka w roli sędziego jest godny, wzniosły, spokojny — pewien, iż sprawiedliwość musi stać się zadość; iż nawet potężny dyktator — jeśli łamie prawa i zasady współżycia ludzi i narodów — powinien i musi podlegać osądowi. W „Genewie” jego przekonania nie zostały zewiedzione — stawiają się wszyscy wezwani, choć sami przed sobą udają, że przyszli z własnej woli. Ich postaci są czytelne dla publiczności; może nawet zbyt znane, co z pewnością stanowiło dla aktorów odtwarzających Mussoliniego, Hitlera i Franco dodatkową trudność, lecz równocześnie wyzwanie. W pełni wyzwaniu temu sprościli Jerzy A. Braszka (Battler) i Maciej Ferlak (Bombardone), wydobywając z kreowanych przez siebie osobowości całą ich absurdalność — tym groźniejszą, iż opierającą się normalnej ludzkiej logice. Przy tym z całym kunsztem aktorskim zaprezentowali te cechy, które wymykają się szabloności: okazuje się — taka jest przynajmniej interpretacja postaci scenicznych — że właściwie główną przyczyną ich okrucieństwa jest ich własna małość; że niszczycie innych — to dla nich swego rodzaju psychoterapia, leczenie własnych kompleksów. Trzeba dopiero siły wyżej; zagrożenia, którego nie można zlikwidować zwyczajną ludzką przemocą, by te cechy ujawniły się w całej pełni. Tu stosunkowo najtrudniejsze zadanie miał Mieczysław Górkiwicz — generał Flanco de Fortinbras — gdyż stereotyp gen. Franco jest bodajże najmniej znany. Brak tego schematu usiłował zastąpić zewnętrznymi efektami, popisowymi środkami aktorskimi, które wzbudzają śmiech, ale także przerażenie. Inną, może bardziej pogłębioną postać Franco (dublera) prezentuje Andrzej Mrożewski, ale nie przystaje do koncepcji reżysera (agresywni — oblakani, wyzywający: Battler i Bombardone).

Dodać należy, że scenografia, a zwłaszcza kostiumy Kazimierza Wiśniaka (poza bładością, nieprzejrzystością, kostiumu Sir Midlandera) w dużym stopniu przyczyniają się do określenia osobowości postaci scenicznych. Zaś syreny na końcu spektaklu przypominają i ostrzegają: nie wolno lekceważyć zagrożenia, choćby zrodziło się ono w chora, anormalnej psychice.

OLGIERD JĘDRZEJCZYK